Cena 35 groszy.

# ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK.
wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie

Rok IV. Częstochowa w grudniu 1929 r Nr. 2 (20).



(fot. kółko przy G. P. T.)

Pomnik Kazimierza Pułaskiego w Częstochowie.

*Zamierzając wydać jeszcze jeden numer przed świętami Bożego Narodzenia uzależniamy to od otrzymania potrzebnej ilości prac. Prosimy o szybkie ich nadsyłanie.* *REDAKCJA.*

# CO CZYTAĆ?

**„U północnych sąsiadów"**

Warszawa — 1929 — zł. 3 gr. 80.

Podróż grupy dziennikarzy i sprawozdawców polskich do Łotwy, Estonji i Finlandji, w której uczestniczyła także p. M. Dąbrowska, znalazła w tej książce swe odbicie.

Podczas zwiedzania tych trzech państw nasuwały się autorce różne spostrzeżenia, dotyczące życia gospodarczego, społecznego i państwowego, więc n. p. mówiąc o Finlandji, wspomina o rozwoju ruchu spółdzielczego, omawia dość szczegółowo kulturę Finnów, zastanawia się nad własnościami ich charakteru, czasem rzuci także okiem wstecz i powie coś o przeszłości tych ziem, wspomina też o dawnej zależności tych terenów od Polski i t. p.

Dzieło to porusza wiele zagadnień geograficznych, etnograficznych i historycznych, a że jest napisane żywo i plastycznie, więc czyta się z przyjemnością.

— Kończąc swą książkę, mówi autorka, że „widok ziem, ludzi, instytucji innego dalekiego narodu daje nam, niewiernym Tomaszom, rozkosz sprawdzenia, że istnieje naprawdę to miejsce, gdzie nas niema", powiada, że wędrówki takie po innych krajach odpowiadają tkwiącemu w nas wieczyście instynktowi, który każe nam od dzieciństwa niemal tęsknić i śpiewać:

— „Pojedziemy w cudze kraje, tam są inne obyczaje, malowany dwór..."

*Ludziński Marjan*
G. R. T.

**Na yachcie „Witeź".**

*Nakładem Instytutu Wydawniczego Ligi Morskiej i Rzecznej.*

— Niewielka to, lecz bardzo miła, strannie, a nawet wytwornie wydana książeczka. Autor jej opisuje w swem dziełku czwartą podróż żaglowego yachtu „Witeź" do Łotwy i Szwecji, a że jest prawdziwym miłośnikiem morza i sam brał udział w tej podróży, więc pisze żywo i barwnie.

„...O moi ziomkowie! zwłaszcza wy, młodzi, którzy wszyscy tak zawzięcie maltretujecie nieszczęsną piłkę nożną, kiedyż zapragniecie szerokiego oddechu morza i jego widnokręgów bezkresnych..

...Kiedyż pójdziecie kołysać się na wielkiej fali oceanowej, nie jako ci, którzy za pewną ilość złota są przewożeni na parostatkach i napełniają je rozgwarem i nudą miast wielkich, ale błędni na morzach żeglarze, szukający Tajemnicy..."

— Snuje ten żeglarz swe opowiadanie, często gwarzy też z humorem o przygodach yachtu podczas podróży, uśmiecha się, gdy mówi o tem, jak niewiele brakowało już do tego, aby mały stateczek poszedł na dno, bo do wnętrza poczęła wdzierać się woda, to znowu przedstawia nam chwilę niebezpieczeństwa, grożącego ze strony parowca, pędzącego w nocy na yacht całą siłą pary.

Nie wyrzuca autor z siebie wyrazów odrazy ni nienawiści, gdy opowiada o tem, jak straże litewskie w Kłajpedzie nie chciały wpuścić do portu — polskiego statku, szukającego tam schronienia przed burzą.

Cała książka owiana jest serdecznością i jakimś dziwnym, pogodnym nastrojem.

Pod względem szaty zewnętrznej wyróżnia się książka wyraźnym estetycznym drukiem. Papier kredowy.

— Dziełko zdobią liczne, dobrze odbite ilustracje, przeważnie fotografje z podróży yachtu.

④
# ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie

Rok IV. Częstochowa w grudniu 1929 r. Nr. 2 (20)

# Posłanie dobrej woli 1929
## od dzieci szkolnych w Anglji.

*„Dzieci szkół angielskich przesyłają ten oto wyraz dobrej woli i dobrej nadziei wszystkim chłopcom i dziewczynkom innych krajów:*

*Życzymy wam wszystkim radości i powodzenia w pracy i zabawie. Mamy nadzieję, że będziecie wszyscy szczęśliwi, gdziekolwiek żyjecie, i że połączycie się z nami w przesyłaniu tego pozdrowienia wszystkim dzieciom na świecie.*

*My, dzieci angielskie, nie wiemy, co wojna, ale rodzice nasi wiedzą, a my modlimy się, żeby Lidze Narodów powiodło się zjednoczyć wszystkie narody w duchu pokoju i miłości.*

*Mamy nadzieję, że wszystkie wynalazki przyszłości pomagać nam będą, by poznać was lepiej. Wtedy, być może, zamiast wojennych, specjalne okręty będzie się budowało, aby zawozić nas do was dla zobaczenia się z wami. Myślmy o pokoju przez całe życie i bądźmy zawsze przyjaciółmi, gdyż należymy do jednej, wielkiej rodziny. Niechaj ten dzień dobrej woli poprzedza każdy dzień w roku, który się stanie dniem dobrej woli.*

*Pozdrowienie wszystkim narodom.*

*Pokój wszystkim ludom".*

## Młodzieży angielska!

*Z dalekiej, otulonej w siwe mgły, ojczyzny twej doszedł do nas zew dobrej woli. My młodzi jesteśmy braćmi w młodości naszej. My możem „ruszyć z posad bryłę świata", jak mówi nasz narodowy poeta. Od nas kiedyś będzie zależeć, czy ludzkość ponownie pławić się będzie w krwi miljonów, czy iść nowemi torami. My mamy decydować, czy tysiące nowych wynalazków mają być użyte na potworne zniszczenie cywilizacji, czy na ugruntowanie braterstwa ludów.*

*Przyjmujemy owo posłannictwo dobrej woli z głęboką wiarą, iż kiedyś muszą zniknąć wszelkie antagonizmy między narodami. Jednocześnie przyrzekamy konsekwentnie dążyć do tego celu. Wierzymy, iż przed nami otwiera się lepsza przyszłość w braterstwie ludów.*

*Jeżeli zaś kiedykolwiek w przyszłości spotkamy się, młody Angliku, to niechaj wówczas braterski uścisk dłoni zaświadczy, że odezwa twoja nie jest pustem słowem ale prawdziwem posłannictwem dobrej woli.*

# JACEK MALCZEWSKI.

Ma naród polski groby na Wawelu i na Skałce. Tam składa śmiertelne szczątki tych, których zowie książętami swoich losów i przeznaczeń... Lecz oprócz widomych mauzoleów ziemskich posiada Polska swoją stolicę ducha, gdzie niby w przybytku żywych są nieśmiertelni orędownicy ziemi naszej. W tym panteonie, w mroku płonących ogniami fioletów niedoli polskiej, w tej świątyni, gorejącej purpurą majestatu i opalami tęsknot świetności narodowej, snują się cienie naszych wielkich mężów, pozostających w nieustannej jedności i związku z narodem. Są to ci patronowie, których duchy świetlane wiodą naród ku lepszym szlakom życia, ku coraz wyższym szczeblom kultury. Jednym z tych duchów w dziedzinie sztuki jest Jacek Malczewski, jeden z największych malarzy polskich. Jacek Malczewski urodził się w Radomiu 1854. Był więc 9-cio letnim chłopcem, gdy na ziemiach polskich rozgrywało się powstanie styczniowe. Pamięć tych walk i strasznych prześladowań, jakie były następstwem przegranego powstania, żyła w nim przez całe życie. Jacek uczył się malarstwa w Krakowie, mistrzem jego był Matejko. Po skończeniu szkoły krakowskiej wyjechał na dalsze studja do Paryża. Po kilku podróżach zagranicą osiadł na stałe w Krakowie, gdzie był przez szereg lat profesorem i rektorem akademji. Zmarł 8 października b. roku tamże, licząc lat 75. Naród, czcząc w nim swego twórcę narodowego, pochował jego zwłoki na Skałce w grobach zasłużonych. Owoc pracy Jego mrówczej idzie w tysiące obrazów przepięknych, w których mistrzowską swą ręką zaklął smutek i ból Polaków, pozostających w niewoli i rwących się raz po raz do swobody, męczeństwo i katusze zesłańców na Sybirze, piękność naszych pól, łąk i wsi.

Jacek Malczewski należy do rzędu twórców narodowych, bowiem w treści jego dzieł duch czasu współczesnego pokolenia znalazł uderzająco dobitny wyraz. Treścią tą głównie oddziaływał na widza, treść stanowiła potęgę jego dzieł, forma zaś była tylko środkiem, służącym do wypowiedzenia owej bogatej, zagadkowej ideologji. Idea stanowiła pierwiastek dominujący w jego sztuce, streszczała najwznioślejsze uczucia narodu w danej chwili. Widać to przez cały okres jego romantyzmu. Pierwszą twórczość młodzieńczą rozpoczął od „tematów sybirskich", z których wymienię tylko kilka, jako: „Niedziela w kopalni", „Śmierć wygnanki", „Ostatni etap" „Zesłanie studentów" ilustrujące III-cią część Dziadów, „Śmierć Elenai". Obrazy te przez swą treść zdają się być dalszemi pracami Artura Grottgera. Cechą prac Malczewskiego jest jedyne w swoim rodzaju połączenie uczuciowego i czysto romantycznego tematu, związanego z poezją trzech wieszczów, z najwyraźniejszym naturalizmem formy. Bo przyjrzyjmy się bliżej jednemu tylko obrazowi „Ostatni etap".

We wnętrzu ciemnej prawie izby odpoczywają wygnańcy pędzeni na Sybir, jeden z nich, młody chłopak kończy tamże biedny złamany swój żywot. Agonję tą świetnie oddał artysta z przejmującym do głębi realizmem. Wyprężenie nóg wskazuje już na trupią martwotę, szeroko rozwarte usta są objawem, że to już ostatnie widocznie mozolne odetchnienie konającego. A otoczenie mało dlań zdradza współczucia i zainteresowania nim. Jeden tylko starzec tkliwie nań spogląda i trzyma przed gasnącemi oczyma mały krzyżyk. Z innych postaci zaledwie paru patrzy z pewnem zainteresowaniem u reszty tępota i obojętność. Jeden z nich, widocznie sołdat, odwrócił się od niego i skrobie się po plecach, inni śpią, nie zwracając uwagi na straszny dramat konania. Ten sposób ujęcia przedmiotu za pomocą kontrastu potęguje wrażenie tragizmu. Z czasem oddala się treść historyczna w obrazach i wkracza Malczewski w kraj fantazji, symbolu, gdzie dopiero znajduje ujście imaginacja artysty. Podstawą tych obrazów jest poezja fantastyczna, a nie tragizm ro-

# ROK 1830.

Porwał się do walki naród ciemiężony
I w górę złoty wzniósł sztandar wolności,
Co leżał u nóg tyrana splamiony,
Ten znak minionej ojczyzny świetności.

Na zew ojczyzny synowie stanęli
I ojców miecze chwycili w prawice,
I godło wiary na piersi przypięli,
Na skronie zemsty przywdziali przyłbicę.

Na polach Grochowa kładli życia młode,
By kochanej ojczyźnie niepodległość wrócić,
Zapłacić za niewolę, zdeptaną swobodę,
By wroga zgnębionego pod jej stopy rzucić.

I znojne wiedli życie, pełne trudów, męki,
Przez swoich pogardzani,—gnębieni przez wroga
Szli twardo i zwycięsko do pól Ostrołęki,
Nie prosząc o pomoc nikogo prócz Boga.

Musieli ulec... Despota zwycięski
Swą stopę na piersi ojczyźnie postawił,
Przez krwi rozlewy—rzeź, pożogi, klęski
Ostatnie narodu nadzieje zadławił.

I lata się tułaczki ciągną i wygnania,
I tęsknoty za krajem,—za gniazdem rodzinnem
I cierpień na Sybirze — lata kołatania,
Za zgubioną ojczyzną i za życiem innem.

— — — — — — — — —

Aż z prochów rozpaczą po świecie miotanych,
Z tej krwi męczeńskiej co ziemie zaległa,
Z serc niepewnością, trwogą kołatanych
Powstała Polska — nowa — Niepodległa!

**J, K, VIII, G, P, T,**

mantyczny jak w pierwszym okresie. W obrazach tych czuć pewną rytmikę, coś mającego z taktu muzycznego. Już w obrazach pierwszych drugiego okresu przejawia się w tematach ludowych fantastyczność i bajeczność. Artysta coraz częściej maluje bajeczny świat faunów i chimer i t. p., które mają jednak w pewnej mierze nasz etnograficzny charakter. Znać, że te dziwy przecież na polskiej wyrosły glebie, że żyją wśród naszego, rodzimego otoczenia. Do pierwszych prac owego okresu fantazji i symbolu należą obrazy z owemi dziewkami —rusałkami, pastuszkami i rybakami, na tle pejzażu wiejskiego, który w tych pracach jest najlepiej ze zrozumieniem oddany. Koroną twórczości malarskiej Malczewskiego są obrazy symboliczne, z tych wymienię tylko „Zaczarowane Koło", „Melancholja", cykl „Zaczarowana studnia", „Malarczyk" i inne. W „Zaczarowanem Kole" ukazuje się wizja chłopcu, pomocnikowi malarskiemu, siedzącemu na wysokiej drabinie pokojowej; treścią zaś jest wir rozmaitych postaci uosabiających uczucia i przejścia życiowe ludzi, od uciech i rozkoszy — po nieszczęścia niewoli, prześladowań i starczego schyłku. Także kolory są odpowiednio dobrane do części obrazu. Kąt lewy. symbolizujący radość i rozkosz, ma ciepłe, żywe tony, wówczas gdy strona cierpień zapada w mroki fioletowe, szare, ta ostatnia jednak strona przeraża stanowczo. Treść wypełnia wolny kąt Koła, a nadto przedstawione jest nie jako pogodna radość życia, lecz jako półszalone zmysłowe upojenie — natomiast „cierpienia" zajmują większość kompozycji. Całość tedy robi wrażenie smutne, groźne, pełne bólu. W obrazie „Melancholja" widzimy podobną, tylko liczebniejszą w figury przelatującą zjawę. W kącie głębokiej izby siedzi przy sztaludze malarz, z płótna zaś jego wytryska rój dziatwy; na bliższym planie jest to już młódź uzbrojona, lecąca ku walce; dalej przechodzi w „wiek męski" wiek klęski borykający się z niewidzialnym wrogiem, przyczem wielu z walczących pada pod ciosem. U kresu prawej strony tylko szczupła garstka dotarła do okna, lecz brak im sił dostać się na piękny świat, na wolność; wreszcie przy oknie stoi kobieta w czerni. Co to wszystko oznacza? Możemy po kosach i wogóle minie zbrojnych postaci upatrywać symbolu naszych walk narodowych. Lecz także ogólniej możemy sobie interpretować ową kompozycję jako symbol ludzkich zmagań bezskutecznych, skierowanych ku osiągnięciu jakiegoś idealnego, wymarzonego celu. A dlaczego artysta nazwał to Melancholją? Zapewne dlatego, że owa smutna myśl o bezskuteczności ludzkich walk i zabiegów, którą nam obraz symbolizuje, wprowadza

nas w zadumę, melancholję. Widzimy w tych obrazach więc symbol, tajemnicę życia, nastrój. Celem artysty jest odtworzenie myśli zapomocą symbolu. Znane są również bardzo tak zwane tryptyki „duety" i „tercety", w których najczęściej widać portrety osób znajomych. Malował Malczewski również wiele portretów i wreszcie obrazów religijnych jak np. „Niewierny Tomasz", „Kuszenie Chrystusa", „Grosz czynszowy" lub „Jawnigrzesznica". Pod względem formy Malczewski jest również mistrzem. Cechą jego obrazów jest niesłychana bujność i rozmaitość kolorytu, dalej mistrzowska charakterystyka twarzy, tętno żywiołowe w każdej kompozycji. Malczewski był i jest malarzem indywidualnym, nie mamy drugiego mu podobnego jest on Dantem polskiego malarstwa symbolicznego. Zeszedł z tego świata cicho w zakonnym habicie zostawiając po sobie dzieła i pamięć wieczną w narodzie.

*E. Belof.* Kl. VIII G.R.T.

# WIECZOREM...

O wieczornej porze poczęły gadać książki. W wielkich, wspaniałych salach bibljoteki było już cicho i mroczno. I tylko wraz z ostatnim promieniem światła, ześlizgującym się z okna długą a wąską nitką buraczaną, wymotaną gdzieś ze słońca, rozdziewał się wieczorny zmierzch. Człowieka ni hałasu żadnego już tam nie było.

Spokojność rozparła sę wielmożna i wzdłuż i wszerz. I w takiej to oto porze bezhołowie głosów książczanych jęło się podnosić. Prym odzierżyły książki najgorsze jako, że w życiu najwięcej były czytane. Te tak mówiły...

— Przyszłyśmy na świat jako dzieci schorzałe, zaropiałe ojców niewdzięcznych. Zrodziła nas zbrudzona wyobraźnia — tych wszystkich ludzi, poetów, w których nic nie było krom talentu i tego niedobłysku żądnego — chęci sławy.

Źle nam jest, bo gdzieżby złu było dobrze? Nikt nas nie kocha. Te masy, które nas w ręce biorą i w siebie chłoną, nie z ukochania ani z głodu nieprzepartego to czynią.

O nie! My nęcim, my wabim ropą cuchnącą, namiastką zbolałego cielska i aż dziw, że tylu do nas przypodbiega, liże i całuje po ranach zaognionych. Ale to jest nasz wieczny tryumf, wieczne panowanie nad stadami niewolników.

Czasem przychodzi do nas o północy szatan — brat. Nazywa siebie Masynissą wiecznym. Ten nas po gębach ogonem chlaszcze i śmieje się okrutnie i woła — Dobrze siostrzycki, dobrze. Zwyciężamy —

Plótł się ich rozhowor obleśny i zapadał w zaniemówienie sal bibljotecznych. Tymczasem na uboczu stały w szafach zawartych inne książki. Czegości były spokojne, we wejrzeniu błękitne, w uśmiechu rozchylone. Te tak szeptały naprzemiany jedna z drugą, jako, że każda chciała swój głos wetknąć w mowę ogólną.

— Wczoraj byłam w ładnym, przytulnym pokoiku — mówiła jedna — szeptałam tak ślicznie tej duszy czytającej, takie jej snułam złote przędziwo myśli, że aż we śnie musiałam zatrzepotać jej skrzydłami motylemi jako, że ciągle wspominała o mnie i do mnie tęskniła.

— Przyszłam z poddasza — zawołała druga — Było tam tak ciasno, duszno, że aż mi się źle w głowie robiło. Ale przemogłam się i dalejże śpiewać a nucić błękitnie, modrząco temu chłopcu blademu, biednemu, co mię tak rękami drżącemi przygarniał do siebie. I pomyślcie. Rozbeczał się nademną i pocałował mię łzami. Ach! Tak się czułam szczęśliwą...

Wnet inna się ozwała. Snać nowa, bo jeszcze sztywna, nieporozcinana, z kartkami równo przyprasowanemi.

— Urodziłam się—szeptała— w duszy jednego człowieka. Przyniósł mię tam anioł boży z pól, gdzie wiecznie lilje rosną, gdzie nie blednie jasność zorzy, gdzie się wszystko mai wiosną. A serce tego człowieka było czyste i dziewicze, jak owały śniegu skrysztalone. Więc przytulił

mię do siebie, przygarnął. Ach, jak on się mną cieszył i pieścił. Ubierał mię wprost nabożnie w śliczne słowa tak, jak to rodzice ubierają dzieci w sukienki i ubranka. Potem ucałował mię i powiedział:

— Idź dziecko z ducha ukochane i ciesz i raduj i świeć tym wszystkim, którzy są sami, biedni i nieszczęśliwi. Tul się do nich i wywspanialaj ich ducha... Nie zapomnij o nikim... ...A niech cię na tę drogę wspomnienie o mnie prowadzi...

Noc już była czarna, jak smoła, a książki ciągle gadały. Północ wybiła a one ciągle się zmawiały między sobą, gadały nieprzerwane aż do czasu świtania, kiedy to ludzie wreszcie hałasami przerwali ich rozhowory.

*J. K.* G.P.H.S.

# „DUCH JAZZBANDU".

NOWELA

Czarny Dżems był dzieckiem nad wiek inteligentnem. Gdyby miał szczęście ujrzeć światło dzienne w starej Europie, napewno stałby się pożytecznym członkiem społeczeństwa mimo swego murzyńskiego pochodzenia. Ale los rozkazał inaczej. I tak to w małym domku na Brodwayu przyszedł na świat „w towarzystwie" przemiłych zapachów z pobliskiej garkuchni, mały człowieczek— Dżems Thompson.

Jego szybko rozwijająca się inteligencja pozwoliła mu, wcześnie bo już w piątym roku życia, nauczyć się sylabizować na wielkich świetlnych reklamach, jaskrawemi smugi odcinających się od niezmierzonej czerni nieba.

Mając siedem lat Dżems był już doskonałym pucybutem. Nie cieszył się jednak powodzeniem, gdyż przeciętny bussinesmen za ujmę sobie poczytuje przyjąć jakąkolwiek usługę od „czarnego psa". Czasem tylko jakiś zaaferowany przechodzień, niezauważywszy kim jest mały pucybut, siadał na zydlu; gdy się spostrzegł było zapóźno gdyż robota paliła się Dżemsowi w wychudzonych, smukłych rączynach. Zakląwszy tedy rzucał, jak rzuca się psu ochłap, kilka centów, nie omieszkawszy przytem zelżyć chłopczyny. Żalił się w domu Dżems przed swoim ojcem. Ten go pocieszał wprawdzie, bagatelizując i obracając wszystko w żart — sam jednak cierpiał nie mniej od swego jedynaka; cierpiał i rozpalał się nienawiścią do białych.

Nadszedł wreszcie czas, że Dżems, ubrany odświętnie, przekroczył próg małej szkółki siedmioklasowej. Już pierwszego dnia spotkały go drwiny zarówno współkolegów jak i nauczyciela.

— Ty czarny psie! — rozlegało się zewsząd. A gdy udał się rozżalony do nauczyciela, nie znalazł posłuchu. Ojczyzna Waszyngtona i Wilsona nie uznaje bowiem murzyna za człowieka. „Wejście dla psów i murzynów wzbronione" — głoszą olbrzymie plakaty w publicznych lokalach.

Dżems uczył się doskonale, mimo ustawicznych szykan. Miast uznania jednak był przedmiotem ciągłych drwin, a gdy wreszcie brakło mu cierpliwości, albo może odezwała się w nim dzika natura pierwotnego człowieka, uznającego jedynie prawo odwetu i gdy rzucił się na klasowego dowcipnisia, drapiąc, gryząc i bijąc go, oburzony belfer, iż „czarny pies" śmiał podnieść rękę na jego „pupilka" — dając folgę swym „pedagogicznym" zapałom, wykreślił czarnego Dżemsa z wielkiego klasowego dziennika. Nie pomogły prośby, nie pomogło korne schylenie hardego karku; pedagog był nieubłagany.

I w ten sposób skończyła się naukowa karjera Dżemsa. Zaczęło się teraz ciągłe uganianie za pracą. Lecz nigdzie nie chciano przyjąć „czarnego". I tak minęło kilka lat. Dżems powoli z dziecka przeradzał się w mężczyznę. Szeroki w barach, symetrycznie zwężający się w biodrach, ładny, o ile ładnym zdawać się nam może mulat, stanowił typ pięknego, niedojrzałego wprawdzie mężczyzny. Tymczasem senior Thompson po-

woli, powoli coraz bardziej upadał na zdrowiu. Bo i jakże szeroka, gorąca natura człowieka Południa może dobrze czuć się w małym, ciasnym gmachu amerykańskiego bussinnesu? Jakże tedy mógł się czuć dobrze Thompson w szacie zaharowanego robotnika wielkich hut wśród nieustannego szumu i stuku potwornych machin-olbrzymów? I dlatego też coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Ostatnio coraz ciężej przychodziło mu wczesne wstawanie, skoro świt jeno zabielił się na mało widocznym skrawku nieba. Aż w końcu przyszedł kryzys. Z trudem przyzwany lekarz stwierdził zapalenie płuc oraz ogólne wycieńczenie. Stan chorego był prawie, prawie beznadziejny, Coraz częściej przyzywał w malignie do siebie Dżemsa, majacząc o zemście nad białymi. Aż pewnego dnia, gdy choroba zdawała się słabnąć na sile, jak to zwykle bywa przed śmiercią, chory przyzwał do siebie jedynaka i z wysiłkiem w te odezwał się doń słowa: — Słuchaj, Dżems... Przypomnij sobie wszystkie obelgi i zniewagi, jakie doznałeś od przeklętych białych.

Słuchaj tedy mnie, Dżems (tu głos umierającego spotężniał) słuchaj, bo przez usta moje przemawia nasz wielki Bóg, który objawił się mnie grzesznemu we śnie!... Padnij tedy na kolana i słuchaj twego ojca tak, jakbyś słuchał twego Boga! Gdy zdziwiony Dżems padł na kolana, chory z wysiłkiem jął mu mówić dalej te słowa: — Kiedym leżał pogrążony w przemożnym śnie, objawił mi się, jakem już ci wspomniał — sam zdradzony przez przodków naszych — wielki Bóg i tak do mnie przemówił: „Słuchaj stary Thompsonie.... Dusza twoja niedługo przeniesie się do boskiego, mego królestwa. Przedtem jednak musisz mi być posłem zemsty za wszystkie krzywdy mego wybranego narodu. Przed śmiercią za pomocą twego pierworodnego, któregoś niegodnem Dżemsa imieniem ochrzcił — za jego to pomocą pomścisz krzywdy twoje i twych czarnych braci. Natchniony moim duchem objaśnisz mu wszystko jak ci wskażę. A więc: Celem naszej zemsty będzie spaczenie duszy białego człowieka. Czy przypominasz sobie opowiadanie dziada twego, cnego Toma, opowiadanie o tańcach, które na moją cześć przy wtórze specjalnych instrumentów były wykonywane? Sięgnij w przeszłość Thompsonie! Te to tańce przemożną, naszą siłą nakażemy czcić przeklętym białym. A syn twój, Thompsonie, będzie wykonawcą naszej zemsty! Kiedy jeno obudzisz się, pokrzepiony trochę, byś mógł synowi twemu wypowiedzieć mą wolę i nakaz — znajdziesz wtedy pod twą poduszką wór złota, za który pierworodny twój Dżems udać się ma do Paryża, miasta najbardziej dla wykonania naszej zemsty dogodnego. W worze złota znajdzie także wzór instrumentów, którym na imię da: „Jazz".

W tem miejscu suchy kaszel, targnąwszy wychudłemi piersiami Thompsona, jak wicher targnie słabą drzewiną — ustał, gdyż życie natchnionego wyraziciela woli Boga czarnych uleciało hen w zaświaty.

A z oczu Dżemsa nie spadła ni jedna łza. Szybkim ruchem chwycił spory sak i ruszył. Ruszył, by wykonać wolę swego Boga, ruszył, by zemścić się na białych.

---

Przejmująco wył saksofon, piekielnym wrzaskiem wtórował mu jazz, naśladowało go skrzeczące banjo...

A wielkich tłum—niewolnik w spazmatycznych podrygach wtórował murzyńskiej kapeli. Białe torsy mężczyzn, z różnokolorowemi tualetami kobiet złączone niosły się w ofierze niewidzialnemu duchowi — duchowi nieznanego, czarnego Dżemsa.

A ktoby baczniej przypatrzył się upudrowanym kobietom i spoconym mężczyznom, tenby ujrzał na każdem czole wśród tańczących tłumnie, jak ryje się czarnemi zgłoski przeklęte słowo Boga czarnych: Jazz.

*Ał D.* Kl. VIb G.P.H.S.

---

*Z radosnem zapatrzeniem się w szczyty, z nabożnem ukochaniem wszystkiego, co najlepsze i najpiękniejsze, iść musim w przyszłości chram.*

# *Nieznanemu Żołnierzowi*

*Z własnej woli, szedł na boje*
*Niosąc życia swego kwiat*
*Z własnej woli, znosił znoje*
*Dla Ojczyzny tyle lat.*

*Dla niej, dla niej, jak dla matki*
*Ratując ją, zginął sam.*
*Już nie wróci, do swej chatki,*
*I nie powie już nic nam.*

*Swojej matce, czarnej ziemi*
*Zwierzył tylko, srogi ból*
*Na niej został wraz z innymi*
*On bohater, On jej król.*

*Niepoznany, zapomniany*
*Został — aż i zginął ślad*
*Za to ciche poświęcenie*
*Teraz wspomniał o nim świat.*

**Zbigniew Ziółkowski Kl. V. G. P. H. S.**

# Mogiła Nieznanego Żołnierza.

Pamiętam jak dziś, — opowiadał dziadunio, mróz był siarczysty, upadł pierwszy, duży śnieg.

Obiecała mi matka, że będę mógł pójść do lasu, ustroić w wieńce biedną, opuszczoną mogiłę nieznanego żołnierza, która mi przypomniała dalekiego gdzieś w lodach Sybiru śpiącego ojca. A teraz śnieg wszystkiemu przeszkodził. Sam, mały chłopiec, nie mogłem iść do lasu a matka była słaba i w taki czas nie ruszała się z domu. Rozpacz moja była bez granic, nie mogłem pozostawić grobu na opiece wichrów. Postanowiłem pierwszy raz w życiu nie usłuchać matki. Ubrałem się w kożuszek i baranią czapkę i z łopatą w ręku pobiegłem prędko do lasu. zapadając się miejscami aż po pas w puszystym śniegu. Im bliżej byłem celu, tem większy przejmował mnie lęk, że ośmieliłem sprzeciwić się woli matki, ale bór był blisko i nie chciałem się cofnąć. Dopadłem czerwonych pni sosen i zacząłem się przedzierać przez gęstwę krzaków. — Cisza panowała w lesie i tylko od czasu do czasu szeleścił, spadając śnieg. Czy znajdę mogiłę, czy miękki pokrowiec nie skrył jej zupełnie równając z białym całunem pokrywającym powierzchnię ziemi? — Ale nie... — czernił się krzyż i tabliczka z wyrytym imieniem: „Staszek". Przeczytałem napis, który już nieraz widziałem, ale nigdy nie wydawał mi się tak samotnym i tak drogim, jak teraz. Chciałem śnieg odkopać, ale tak ślicznie się mienił i otulał Stacha, że tylko narwałem gałęzi i przystroiłem mogiłę. Miałem lat 8, więc prędko zmęczyła mnie praca, siadłem przy grobie i zamyśliłem się. I stała się rzecz dziwna — zagadał bór — Usłyszałem, jak stara sosna opowiadała — a opowiadała głosem pełnym bólu i skargi nad tymi, co polegli, co musieli leżeć, jak Staszek... sami, opuszczeni, przez wszystkich zapomniani. Ta sosna wryła mi się mocno w pamięci, była wyższa od innych drzew w lesie, szersza, czerwieńsza, jakby krwią zalana, a gałęzie miała takie, jak ramiona wyciągnięte do kogoś, by go przytulić, pocieszyć. Opowiadała, że widziała Stacha, jak stał pod jej konarami — młody, szczęśliwy, pełen wiary, a potem, jak padł zamykając czarne, smutne oczy, które nie miały oglądać zwycięstwa. Jasną głowę złożył na wystających korzeniach, bohater, którego nikt nie znał. Dobrzy ludzie go pochowali, a kolega na krzyżu wyrzeźbił imię. Zaszumiała stara sosna — zapłakał bór. „Nie płaczcie — zawołałem — jak dorosnę to stanę do boju i skończę dzieło zaczęte przez mego ojca i Stacha!" „Przysięgnij — zaszeptały drzewa — przysięgnij!" — zakołowały płatki śniegu. I popłynęła pieśń o „Tej, która jeszcze nie zginęła..." Uczułem miłe ciepło i otworzyłem oczy; nade mną stała słodka postać matki, która dawała mi coś do wypicia. — Mamo — powiedziałem — jak dorosnę to zginę za Polskę! — Dobrze syneczku — odpowiedziała, a w głosie jej drgało szczęście, a zarazem dziwny lęk o życie syna.

**St. Cz. kl. VII. Sz. S. S. Zmartw.**




## NADESZŁA JESIEŃ.

*Nadeszła jesień. Spustoszały gaje,*
*Bydło na paszę wlecze się powoli,*
*I dzień leniwie, coraz później wstaje*
*I zżółkłe liście ścielą się z topoli.*

*Przy drodze widać smutne czarne rżyska*
*I spustoszałe, martwe kartofliska.*
*Marszczy się woda zimna i burzliwa,*
*Coraz jest ciemniej: więcej dnia ubywa.*

*Umilkły dawno klekoty bociana,*
*Gęganie gęsi słychać tylko zrana.*
*Rosa, co srebrem dawniej świat zdobiła,*
*Dziś go mgłą zimną jak szalem okryła.*

*Sklepienie niebios ciemnieje u góry*
*A wicher niesie ciężkie czarne chmury*
*Przyrody smutek ludziom się udziela*
*I jak chmura ich dusze zaściela.*

*Dymek Tadeusz (Rzem-Przem).*

## ZADUSZKI.

*Każdy więc spieszy na miejsce*
*spoczynku zwłok drogich,*
*By wieniec złożyć i przeżyć kilka*
*wspomnień błogich,*
*By świecę zapalić, modlitwę żarliwą*
*odmówić*
*Dziada obdarzyć i o zmarłym ze*
*znajomym pomówić.*

*Cały cmentarz od blasku świec się mieni,*
*A każdy grób tonie w wieńców zieleni,*
*Niektóre tylko czernią się przy ziemi*
*W tych grobach leżą ludzie zapomnieni.*

*W cichem, szemrań i modlitw skupieniu,*
*Posuwa się lud ku miastu w skupieniu*
*I nie jednego serce boleść ściśnie.*
*Lub litości łzę z oka wyciśnie.*

*Gdy posuwając się w nadmiernym tłoku,*
*Ujrzy płaczące dziecko na boku.*
*To sierota. Ożyła pewnie matki*
*wspomnieniem*
*I płacze teraz za nią z rozrzewnieniem.*

*M. Prażmowski*
*V kl. G. P. H. S.*

# KILKA SŁÓW O FILATELJI.

Początki kolekcjonerstwa sięgają odległych dziejów cywilizowanej ludzkości. Wspaniałe muzea zawdzięczają bezwątpienia swe istnienie jednostkom, obdarzonym od natury żyłką kolekcjonerstwa które, nie szczędząc trudu, czasu i pieniędzy gromadziły rzeźby, malowidła, rękopisy, książki, autografy, monety i cenne naczynia. Zdarzało się, iż zamiłowanie do kolekcjonerstwa przybierało zbyt wybujałe kształty, nieraz wprost fantastyczne: spotykamy w historji kolekcjonerstwa wzmianki o gorliwych zbieraczach fajek, lasek, parasoli, pantofli, czapek i pudełek od zapałek... Ale to już wkracza w groteskę. Jedną z gałęzi kolekcjonerstwa jest filatelja. Wyraz ten pochodzi z języka greckiego i oznacza zamiłowanie do zbierania marek pocztowych. Kolebką znaczka pocztowego jest Anglja, gdzie w roku 1839 przyjęto w parlamencie wniosek Rowlanda Hill'a o wprowadzeniu frankatury pocztowej za pomocą znaczków w tym celu wydanych.

Żywot pierwszego dwu-pensowego znaczka Wielkiej Brytanji nie był zbyt długi, gdyż już w początkach marca 1841 roku wydano znaczek w mniejszym formacie, z małemi zmianami i w innym kolorze.

Nikłe odgałęzienie kolekcjonerstwa— filatelja ,— w krótkim stosunkowo czasie, gdyż w nie całe sto lat urosło w potężne drzewo. Dziś istnieje obszerna literatura fachowa i bogate pisma filatelistyczne, a związki filatelistyczne rozwijają swą ożywioną działalność we wszystkich niemal punktach kuli ziemskiej.

Zbieranie znaczków nie jest „zabawą dla dzieci" jak to niektórzy pogardliwie określają. Zagranicą filatelja jest traktowana jako odłam wiedzy. Systematyczne prowadzenie zbiorów nietylko daje wiele miłych chwil rozrywki umysłowej, lecz nawet przyczynia się do podniesienia poziomu intelektualnego. Zbieranie znaczków pogłębia wiadomości z geografji. Zdobywszy jakiś niezwykły okaz Tunisu, Sudanu, Azerbajdżanu czy Hong-Kongu szukamy na mapie, gdzie leży ów dziwny kraj — i napewno zapamiętamy sobie jego położenie lepiej, niż z wykładu szkolnego. To samo z historji. Odzwierciadla się ona żywo w naszym umyśle, gdy ujrzymy na znaczkach podobizny królów, wodzów, lub fragmenty doniosłych wydarzeń dziejowych. Zbieranie znaczków wpływa też nader korzystnie na ukształtowanie charakteru, ponieważ wyrabia zamiłowanie do systematycznej pracy.

Dojść do posiadania prawdziwie wartościowego zbioru nie jest rzeczą łatwą. Aby ten cel osiągnąć należy mieć nietylko zamiłowanie i wytrwałość, lecz i pieniądze. Za cenne znaczki tak zw. białe kruki, płaci się bajeczne sumy. Dlatego też na palcach można wyliczyć szczęśliwych posiadaczy najpiękniejszych zbiorów. Ostatni cesarz Rosji Mikołaj II niezmiernie był przywiązany do swego zbioru znaczków rosyjskich, ofiarowanego mu z okazji trzechsetlecia dynastji Romanowów. Cena tego zbioru wynosiła około dwóch miljonów rubli. Wygnany przez bolszewików do Tobolska zabrał ze sobą ukochany zbiór. Po tragicznej śmierci cesarza ów cenny zbiór znalazł się na drugiej półkuli świata, w Ameryce.

„Jerzy, król angielski, jest posiadaczem słynnego zbioru, mieszczącego się w specjalnej sali pałacu królewskiego. (Stamp Roome). Klucz do „Stamp-Romu posiada jedynie król. Zbiór ten jest kolekcją specjalności, gdyż zawiera wyłącznie znaczki imperjum brytyjskiego i to w takim komplecie, jak żaden inny zbiór tego rodzaju. Nie można też pominąć najpoważniejszych zbiorów publicznych, które są dostępne dla ogółu. W Anglji stoi w tym względzie na pierwszem miejscu słynny zbiór Tuplinga w londyńskiem British Museum, w Niemczech w Reichspostmuseum w Berlinie. Odrębne miejsce zajmuje w tej grupie zbiór Światowego Związku Pocztowego w Bernie Szwajcarskiem, do którego każde państwo, należące do Związku (Union Postale Universelle) oddaje obowiązkowo pewną ilość każdego nowowydanego znaczka. Co prawda brak tu właśnie najcenniejszych starszych znaczków, które ukazały się przed utworzeniem Związku. Niestety, jednak największy zbiór jaki kiedykolwiek był na świecie, już nie istnieje. Był to zbiór Włocha, Ferrariego, który jako książe Galliera podróżował po całej Europie, poszukując rzadkich znaczków i nie cofał się przed największą ofiarą pieniężną, byleby zdobyć jakiś cenny okaz. Tym sposobem zdołał zebrać kolekcję, której nie było równej na całym globie. Książe Gallieru zmarł w 1917 r., jego znaczki wystawiono na licytację — i tak rozszedł się po całym świecie ten jedyny w swoim rodzaju zbiór.

Ze względu na swą, wysoką cenę znaczki pocztowe przedstawiają zatem i znaczną wartość materjalną, co tak ważne jest dla ludzi, ujmujących każde zjawisko życiowe, tylko z punktu praktycznego czyli: ile to warte.

Reasumując wszystko wyżej przytoczone, dochodzimy do wniosku, że zbieranie znaczków pocztowych jest ze wszech miar godne uznania. Częstocho-

wa nie posiada żadnego stowarzyszenia z tej dziedziny.

Koleżanki i Koledzy! Proponuję utworzenie ogólno-szkolnego Związku Filatelistów. Rzucam myśl — i mam nadzieję, że głos mój rozlegnie się wielokrotnem echem w „Świecie Szkolnym".

*Jerzy Skrodzki*
G. P. T.

# Pierwszy krok w dziedzinie komunikacji międzyplanetarnej.

*(Odczyt wygłoszony przez radjo d. 19 XI r. b. przez por. J. Meissnera).*

Dzień 30 września r. b. stał się dniem przełomowym w historji lotnictwa, otwierając epokę lotnictwa rakietowego. W dniu tym Fritz von Opel dokonał pierwszego wzlotu na samolocie rakietowym, startując z ziemi, przelatując 3 km. z szybkością 150 km./godz. i lądując bez uszkodzenia, przyczem całkowitą siłę pędną dawały mu wybuchy rakiet, umieszczonych w jego samolocie.

Nad wynalazkiem swym nie pracował on sam. Inż. Tander, który już w czasie wojny zajmował się rakietami, dowiedziawszy się o pierwszych próbach młodego wynalazcy, oddał na jego usługi całe swoje bogate doświadczenie, które też zostało należycie wyzyskane.

Pierwsze publiczne próby nowego wynalazku, odbyte w Burgfädel, zakończyły się zupełnem niepowodzeniem, ówczesna koncepcja wynalazców, wóz rakietowy, mający poruszać się po szynach z zawrotną szybkością 1000 km./godz., został przez gwałtowny wybuch wyrzucony z szyn i zupełnie zdruzgotany. Szczęściem nie kierował nim wówczas nikt, obyło się więc bez ofiar. Widzowie jednak, których większość pokładała w tym nowym wynalazku zupełnie utopijne nadzieje, wyszydzili niefortunnego wynalazcę i okryli go śmiesznością. Ten jednak nie zniechęcił się bynajmniej i tylko dalsze swe badania prowadził z zupełnym spokojem. Badania te trwały blisko dwa lata. W międzyczasie doszedł Opel do przekonania, że środki lokomocji, po powierzchni ziemi osiągnęły już maximum szybkości i sprawności, pragnąc zaś wynalazkiem swym otworzyć nowe zupełnie horyzonty, dalsze swe próby prowadził już z samolotem rakietowym.

Po dwóch latach zdecydował się Fritz von Opel znów wystąpić publicznie, tym razem z aparatem do latania, wprawionym w ruch zapomocą rakiet. Początkowo miał on zamiar obrać za teren swego ponownego wystąpienia łąkę otoczoną lasami, wziąwszy jednak pod uwagę szczupłość takiego terenu, postanowił wybrać któreś z lotnisk niemieckich. Wybór padł na lotnisko frankfurckie. Frankfurt bowiem jest jego miastem rodzinnem.

Już wczesnym rankiem ukazał się Fritz w towarzystwie pomocnika inż. Tandera i widzów, przeważnie reporterów i operatorów filmowych na lotnisku. Start naznaczony był na godz. 9 rano, zaś maszynę należało jeszcze zmontować, czego chciał Opel osobiście doglądnąć. Na oznaczoną godzinę był już aparat gotów. Na mocnych szynach długości 18 m. toczył się rodzaj wagonu (na którym z kolei spoczywał właściwy aparat, podobny zresztą z kształtów zupełnie do niewielkiego samolotu. Rakiety w liczbie szesnastu, o wadze 25 kg. umieszczone były za siedzeniem pilota, oddzielone odeń tylko cienką ścianką azbestową. Miały one wybuchać co 20 sek. Pierwsze wybuchy miały pchnąć aparat z wagonem po szynach z szybkością 100 km. godz. Gdy wagon dobiegał końca szyn, aparat miał, pchany dalszymi wybuchami, oderwać się odeń i wznieść w powietrze.

Pomimo dawnych niepowodzeń wynalazcy, wśród widzów dało się odczuć silne naprężenie, gdy spokojny, uśmiechnięty Fritz zasiadł na siodełku pilota.

Dochodzi dziesiąta. Jeszcze chwila i oto rozlega się pierwszy, do wystrzału podobny, wybuch rakiety; wagon otoczony kłębami dymu pędzi z wielką szybkością po szynach, aparat odrywa się odeń, lecz zamiast wzbić się w powietrze, upada, przeleciawszy 50 m., na ziemię. Po chwili rozlega się nowy wybuch, głośniejszy jeszcze od poprzedniego i aparat mknie kompletnie w chmurze dymów. Widzowie przerażeni biegną ku miejscu wypadku pewni, że śmiały pilot znalazł śmierć w katastrofie, ale oto on sam wynurza się z nieprzezroczystego wciąż kłębowiska, a jak się okazało, aparat również nie poniósł szwanku. Zawiódł zapalnik elektryczny, który zbyt późno wywołał wybuch następnej rakiety.

Przystąpiono do koniecznych poprawek, a o godz. 11 aparat był gotów do nowej próby. I ta jednak skończyła się fiaskiem, jakkolwiek znów bez poważniejszych uszkodzeń aparatu. Zniecierpliwieni widzowie zaczęli się rozchodzić, uparty jednak wynalazca ani myślał uznać się po raz wtóry za pokonanego. Zmienia rakiety i znów szykuje aparat do próby, tym razem już ostatecznej. Około południa zrywa się wiatr, który zmusza zmienić położenie całego urządzenia. Zmiana ta wraz z reparacjami zajmuje czas do godz. 4,30 po poł. O tej godzinie przystąpiono do trzeciego eksperymentu. Ten udał się ponad wszelkie oczekiwania: wybuchy rakiet nastąpiły w oznaczonym czasie, aparat oderwał się od wagonu i wzniósł w górę. Osiągnąwszy dostateczną wysokość, otoczony dymami i błyskający raz po raz wybuchami rakiet, poszybował przed siebie. Koło mostu kolejowego skręcił, lecąc doń równolegle i skrył się za grupę domów tak, że widzowie stracili go na chwilę z oczu. Wkrótce jednak ukazał się znowu. Zapas rakiet wyczerpał się i lotnik „planował"; opadając lotem ślizgowym. Kępę drzew stojącą mu na drodze przesadził przy pomocy zapasowej rakiety i wylądował, przeleciawszy 3 km. z szybkością 150 km./godz. Entuzjazm widzów był ogromny; na rękach wyniesiono Fritza z aparatu. Zapytany o wrażenia i zdanie o swem dziele odparł wynalazca, co następuje: „Przedewszystkiem jestem szalenie zadowolony z wyniku próby, która się doskonale udała. Co do wrażeń, to byłem cały czas przed startem zupełnie spokojny, co zawdzięczam obyciu z maszyną, drażniło mnie jedynie podniecenie widzów. Przy starcie silne wstrząśnienie i hałas oszołomiły mię na chwilę, po kilku sekundach jednak otrzeźwiałem. Odgłosy wybuchów rakiet dochodziły mię jakby z oddali. Lot począł mi nawet sprawiać taką przyjemność, że z żalem poprostu lądowałem, gd wyczerpał się zapas rakiet. O wynalazku sądzę, że ma on ogromną przyszłość przed sobą. Zadaniem mojem jest stworzyć samolot, który mógłby się wznosić z każdego miejsca, z placów, dachów i t. p."

W dalszym ciągu opowiada wynalazca o użyciu wogóle znakomitych rakiet Sanndersa, któremi posługiwał się on w czasie swych doświadczeń; za pomocą tych rakiet można rzucać tonącym statkom na wielką odległość liny tak mocne, że po kilkunastu ludzi może się uratować przy pomocy jednej. Również do płonących domów rzuca się niemi ogniotrwałe liny w celach ratunkowych. W czasie wojny można było tworzyć za ich pomocą zasłony dymne do wysokości 1000 m., mogące zasłonić miasto tak wielkie, jak Berlin, i zmusić do lądowania każdy samolot. Nad tym tematem nie chce się jednak Fritz obszerniej rozwodzić, zaznaczając, że pragnie pracować nie dla wojny, a dla utrwalenia pokoju. Dalej twierdzi Opel, że nowy ten typ samolotów przyczyni się do rozwiązania najpoważniejszego problemu awjatyki współczesnej, dotyczącego zmniejszenia szybkości aparatu przy lądowaniu. Wreszcie zastrzega się kategorycznie przed podejrzeniem go o chęć stworzenia komunikacji międzyplanetarnej. Zadaniem mego aparatu — mówi on — jest nie podróż na Marsa, ale jaknajszybsze i najoszczędniejsze przebycie kilometra drogi ziemskiej. Mamy wszakże prawo posądzać młodego wynalazcę, że w duchu piastuje on tę śmiałą myśl. Czekajmy a zobaczymy! **K. R. Kl. VIb. G.P.H.S.**

## Wspomnienie z Płowiec.

Wśród jednostajnych równin kujawskich, tuż przy drodze wiodącej do Włocławka, stoi mała zapomniana kapliczka, wzniesiona niegdyś na pamiątkę tryumfu oręża polskiego pod Płowcami. Parę nawpół uschłych akacji i dwa mchem porosłe grobowce — oto cała jej ozdoba. Dokoła małego cmentarza gwar, radosne kaskady śmiechu dzieci bawiących się pod murem, odgłosy życia i pracy ludzkiej.

Zazgrzytał przeciągle klucz z zardzewiałym zamku i wnętrze kaplicy stanęło przede mną otworem. Biedny, zaniedbany ołtarzyk zdobią wyblakłe, sztuczne kwiaty. Wszystko tu szare opuszczone, a takie pełne majestatu minionych wieków i cieni tych, co odeszli, krwią serdeczną zapisując swe imiona w dziejach ojczyzny. Przez zasnute pajęczyną okienko wdziera się promień słoneczny, rzucając na posadzkę snop złotego światła. Reszta kaplicy tonie w mroku. Z ciemnych zakątków wynurzać się zdają duchy piastowskich rycerzy. Szare oczy patrzą surowo z pod stalowych chełmów, rdzą pokryte miecze zwisają u boków, z ust rozchylonych wionie groźny szept: „Gdzie twoja zbroja, prawnuku Piastów, gdzie twój miecz?

Miast zbroi — spowiły cię miękkie szaty!

I miecza niema u twej prawicy!

Nie tak żyli i zwyciężali praojcowie twoi".

Czoło me chyli się bezwiednie przed majestatem żelaznych wojowników, a usta szepczą: Cześć Wam bohaterowie.

Za męstwo Wasze, za krew ochotnie przelaną, za życie złożone na ołtarzu Ojczyzny — cześć Wam!

*A. B.* kl. VIII „Nazaret".

## Szept fal.

Jednostajny rytm fali dziwnie ucho pieści,
W jasną toń morza nieruchoma patrzę,
Tam w dali tony dziewczęcej pieśni,
Coraz rzewniejsze dźwięczą żadsze.

W jasną toń morza błędne oczy topię,
Złotawy miesiąc jasne rzuca smugi
I gwiazd tysiące, swoje wierne sługi,
Zapala blaskiem swym na nieba stropie.

W jasną toń morza patrzę bezprzytomnie,
Myśleć nie mogę... i oto duch złoty
Na cichej fali lekko spłynął do mnie.

Jaśniejsze myśli mą duszę oplotły,
I tak mi dobrze, tak cicho ogromnie
W chwili modlitwy mojej i tęsknoty...

„Nauka i Praca", **W. L.**

# SPRZEDAWCA GAZET.

Smagany ostrym wichrem północy, w nasuniętej na uszy czapce, otulony płaszczem podszytym wiatrem, stoi na rogu ludnej ulicy mały sprzedawca gazet. Jego nogi, które spoczywają w słomianych łapciach, raz wraz uderzają o bruk. Cienki, dziecinny głosik miesza się z wesołym gwarem miasta, ze srebrnym dzwonkiem sań i rykiem syren automobilowych.

Lecz bez skutku. Tylko rzadki przechodzeń zatrzyma się przed chłopczyną. A on, zmęczony całodziennym krzykiem, woła coraz słabiej, coraz rzadziej... milknie. Jego oczy oślepione blaskiem śniegu nie widzą otoczenia... myśl ulatuje w stronę przedmieścia, ku odrapanemu domowi, którego poddasze zamyka w sobie rodzinę sprzedawcy i widzi...

Po krętych schodach wspina się jakiś człowiek o twarzy, mimo mrozu, popielatej, otwiera na czwartaku drzwi małej izdebki brudnej, niechlujnej. Dwa małe okienka, w których brak szyb, są zaklejone papierem.

Ojciec rzuca oczyma na żonę, w jej oczach wyczytał nieme drżące pytanie.... spojrzał na gromadkę dzieci, grzejących się u piecyka — to samo... nieśmiało, lękliwie: chleba?!

Dziki ból rozdarł wnętrzności chłopca, a jego serce zaskowytało; zda się, że

wyrwie się z piersi i małe, czerwone, ucieknie, by paść do stóp rodziców i wziąć na się część ich cierpień.

Mały nędzarz mimowoli chwycił się za pierś, chwiał się.., chwil kilka szamotał się z czarną rozpaczą, i z straszniejszą jeszcze zmorą martwej rezygnacji. Lecz nagle w jego oczach błysnęło coś, niby stal. Całą mocą woli zdusił szarpiący go ból i obezwładniające go zniechęcenie.

Nie on musi tu zostać na posterunku pracy! On musi przynieść chleb zgłodniałemu rodzeństwu!

I czuje już dziękczynny wzrok tych wszystkich, których ukochał, na siebie skierowany.

Otrząsnął się chłopak z tej wizji, by wrócić do twardej rzeczywistości.

Właśnie ludzie z fabryk wracali i często zatrzymywali się robotnicy przed chłopcem, którego kieszeń zwolna wypełniała się grosiwem. Radość wstępowała w serce malca! Wesoło błyskały białka oczu. Wreszcie sprzedał wszystko.

Na skrzydłach miłości dostał się do domu. Ziściły się jego marzenia! A na widok uciechy i wdzięczności, ukochanych przezeń istot, objął go niebiański spokój. W cichości ducha ułożył się do snu, który był jakby mozaiką cudną:

Śmiały się do niego twarze rodzeństwa, rodziców...

Wtem coś trzasło. Malec obudził się... i już nie mógł usnąć. Szeleścił sucho papier w oknach. Świszczał wiatr w kominie głucho... A w tej dzikiej muzyce nie doli słyszy nędzarz refren: co jutro, co jutro?! co jutro będzie? I to pytanie ukazuje mu się krwawemi zgłoskami wypisane wszędzie, gdzie spojrzy... nie może od niego uciec... co będzie jutro??

*S. Przedborski* G. Ż.

# KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

## W izbie harcerskiej.

Smutno, ponuro na dworze
Wiatr wyje, mgła drzewa zasłania,
Krople spływają po obmokłej korze,
Liść się po ziemi słania.

Brzydka pogoda jest dzisiaj na dworze:
Lecz w izbie harcerskiej wesoło,
Harcerze Druha otoczyli wkoło,
Plusy dostaną dziś może.

Potem w szeregu długim stanęli,
I zaśpiewali Rotę,
I zgodnie pracy wszyscy się jęli,
Gdy Druh im rozdał „robotę".

**Stanisław Osóbka,** kl, II-b, G, P, H, S,

## W naszym ogródku zoologicznym.

Każdy uczeń musi stopniowo zapoznać się z zoologją i botaniką. Mając podręcznik, małoby jeszcze skorzystał, gdyby na własne oczy nie obserwował życia zwierząt czy też roślin. I zdarzyćby się mogło, że nie znałby drzew swojego kraju i mógłby lipę nazwać jabłonią. Zwierzęta domowe, czy psa czy kota, no to każde małe dziecko już zna, ale ucząc się z podręcznika wiemy, że mają one swoich krewniaków: pies np. wilka, a kot, żbika, rysia, tygrysa. Otóż, kierując się tą myślą, aby uczniowie mogli mieć pomoc w obserwowaniu przyrody, założono przy naszem gimnazjum ogródek zoologiczny. Mamy tu wiele ciekawych okazów. Chciałbym być przewodnikiem i pokazać, co jest godnego widzenia. W dużym terarjum znajduje się wąż i żmija. Mają one urządzone skamię, gady z przyjemnością wygrzewają swe ły sztuczne. Kiedy słonko dobrze ogrzeje zieleniwe cielska. Wtedy można najlepiej im się przypatrzeć, ale maleńkie, świecące oczka żmii mówią, że spotkanie w lesie czy na górskiej skale jest niebezpieczne, bo żądło żmii jest jadowite. Nieco dalej w odrutowanej klatce widzimy dwa rude lisy o puszystych ogonach. Jak na swobodzie żyjący lis, kiedy wpadnie do kurnika robi spustoszenie, nie kontentuje się jednym kogutkiem czy kokoszką, ale chce mieć zaraz duży zapas żywności, tak samo i nasze lisy i część jedną zjadają, a drugą śpieszą gdzieś ukryć. Chytrość patrzy im z oczu. Przejdziemy do następnej klatki. Mamy tu duże, ładne kuny. Są one obłaskawione. Wiemy, że ludzie na nie polują dla pięknego futerka. Ponad tą klatką mamy zająca szaraka. Przypomina nam się wierszyk:

„wyszedł zając z za krzaka,
i udaje junaka".

Ale tu jakoś spokojnie się zachowuje, za co też w nagrodę otrzymuje różne przysmaki. Prócz zająca mamy jeszcze inne gryzonie kłapouchy: to króliki różnych ras. W dużych klatkach mamy i wilki. Za dnia spoczywają spokojnie, ale

po zachodzie słońca, wilk zaczyna swoje solo, które wkrótce zamienia się w duet. Dobrze, że niema ich całej gromady, bo wówczas trzebaby uciekać z takiego koncertu. Kto jest ciekawy jaki wilk ma apetyt, niech przyjdzie w czasie karmienia. Nie darmo to mówią „wilczy apetyt".

Przejdźmy teraz do klatki z borsukami. Borsuki cały dzień spędzają w swoich norach. Wychodzą tylko na żer. Żywimy je mięsem, a że głodu nie znają widać to dobrze z ich tuszy. A któż nie zna sarenki, kto jej nie widział w lesie, trwożliwej, uciekającej przy najmniejszym szeleście? Tu możemy zaobserwować je zbliska. Skubią trawkę spokojnie stąd już wnioskować możemy, że są obłaskawione. W osobnem ogrodzeniu mamy przepięknych kształtów jelenia. Wyniosła jego postać i zwinne ruchy każdemu się podobają. Urządziliśmy mu pokój sypialny, w przedsionku zaś pokój jadalny. Czasami jeleń jest w usposobieniu wojowniczem i nieproszonych gości potrafi wystraszyć rogami. Ale zdarza się czasem, że jest spokojny, za co w nagrodę otrzymuje jakikolwiek przysmak, za który liże po rękach, chcąc wyrazić swoją wdzięczność. W specjalnym pawiloniku mieszkają dwaj akrobaci, to Dezi i Feluś — dwie rozkoszne małpki. Boki można zrywać, przyglądając się ich figlom i zabawnym sztuczkom, jakie wykonywują na swych przyrządach gimnastycznych. Największym okazem jest niedźwiedź brunatny, którego nazywamy „Misiem". Zabawnym jest wtedy, kiedy dostaje posiłek. Staje na tylne łapy i, składając przednie, prosi mrucząc czy modląc się po swojemu. Nieraz wchodzi na pień drzewa, szukając zapewne barci z miodem. Ale tego właśnie mu brak i zdenerwowany schodzi na ziemię. Należałoby też wspomnieć o Fredzie — łasicy i o wielu innych pomniejszych okazach, jak: gołębiach, morskiej śwince, ptakach drapieżnych o różnych odmianach pomiędzy któremi króluje wreszcie orzeł „król ptaków". Dodam w końcu jeszcze, że posiadamy dużych rozmiarów akwarjum z okazami rzecznych ryb i roślin.

Z każdym rokiem ogród zoologiczny się powiększa i mamy niezłomną nadzieję, że w przyszłości dorówna ogrodom innych miast.

**Uczeń klasy IV-a** G. P. S.

Częstochowa, dnia 11 listopada 1929 r.

# PAMIĘTAJMY O PTAKACH.

Hej! zima nadchodzi, piękna pora roku!

Mamy wiele sposobności do zabawy, łyżwy i saneczki czekają na nas, ale bawiąc się nie zapominajmy o naszych wesołych przyjaciołach, o ptakach.

Mamy wiele ptaszków, podczas zimy są u nas: gile, sikorki, strzyżyki, wróble i inne, które przebywają jużto koło naszych domów, jużto w ogrodach i parkach.

Wieczory mamy teraz b. długie, więc na zebraniach towarzyskich, w kółku bliskich przyjaciół i kolegów czy koleżanek — rozpocznijmy propagandę dożywiania i ochrony ptaków. Roztoczmy nad niemi opiekę, usuwajmy sidła i pułapki, a tych, którzy je zastawiają, uczmy: „Nie czyń tego drugiemu, co tobie niemiłe", mówmy im, że źle robią czyniąc krzywdę naszym skrzydlatym przyjaciołom, pokażmy tym, co mają wolny czas i używają go na zastawianie sideł, —jak budować domki z obszernemi daszkami (dlatego aby śnieg nie zasypał pokarmu) szopki i żłobki, bez ścian, lub o jednej względnie dwu ściankach— zależnie od miejsca i posiadanego materjału.

— Zamiast niszczyć i tępić ptaki, niszczmy sidła i inne narzędzia, odbierające wym; mówmy wszystkim o ich pożywolność i życie naszym gościom zimotećzności, budujmy schroniska, aby dać ptakom możność przeżycia zimy, tej złej dla nich macochy.

— Jak miło i przyjemnie patrzeć, będąc ukrytym gdzieś w pobliżu, na te ptaszyny, które miłym świergotem okazują radość z tak miłej niespodzianki, jaką jest stół biesiady, dla nich zastawiony! A jest tam bogata rozmaitość potraw: okruchy chleba, kasza, ziemniaki, drobniutko posiekane mięso, słoninka, przypominająca ptaszkom robaczki, których daremnie teraz szukają. Początkowo ptaszki boją się, lecz później, widząc regularnie przychodzącą jedną i tę samą osobę, przyzwyczajają się i już nie uciekają płochliwie.

Widząc systematycznie zasilany swój „stół", zlatują się ptaszki z wrzawą i świergotem, pełnym beztroskiej wesołości....

Przeto starajmy się ulżyć doli naszych ptasząt i pamiętajmy o nich, sypiąc im pokarm w zacisznych miejscach.

*St. Tkacz II K. Sz. Handl.*

# WARTA...

*(Z przygód harcerza).*

Była noc. Ciemność nieprzenikniona zalegała salę starego pałacu, w której spał zastęp „Lisów".

Zbudzony przez wartownika, począłem się ubierać: nadchodziła godzina mej warty. Łatwo powiedzieć „ubierz się", ale wykonać to wśród ciemności — sztuka nielada. Już to traf jeżeli dostaniesz się do swych butów pod ścianą i nie włożysz prawego na lewą nogę. Wszystko jednak da się zrobić przy dobrych chęciach, to też i ja, po pewnym czasie ruszyłem pełnić swą służbę. W korytarzu pałacowym, gdzie trzymaliśmy wartę stały w kątach figury niewolnic, dźwigających winogrona. Ilekroć schodziłem do owego korytarza w nocy, wzdrygałem się mimowoli na widok tych postaci. Zszedłszy doń teraz, z sali na pierwszem piętrze, spojrzałem na zegarek przy słabem świetle zakopconej lampy: była godzina dwunasta — czas duchów. Brr... czekała mnie cała godzina warty w tym obrzydliwym korytarzu. Wyszedłem na dziedziniec pałacowy. Noc była zimna i ciemna. Mżył lekki deszczyk. Sklepienie niebieskie nie było jak zwykle, usiane mrugającemi gwiazdami. Przedemną czerniły się niewyraźne kontury drzew parkowych. Coś tam tłukło się, skrzypiało i jakby kwiliło.

Dalej, za tym parkiem stał mały kościółek harcerski i cicho spał koło niego... cmentarz żołnierski. Obszedłem pałac wokoło, zabawiłem jeszcze chwilę i wróciłem na korytarz. Było mi zimno i trochę głupio. Znowu spojrzałem na zegarek. O, bogowie... dopiero 15 minut po dwunastej, a ja myślałem, że godzina dawno już minęła. Wsparłem się na parapecie okna i patrzyłem w skwierczący, żółty płomyk lampy. Za drzwiami coś, jakby zaskrzypiało. Spojrzałem w okno — nic, tylko ciemna nieprzejrzana szata nocy. Obejrzałem się poza siebie i oniemiałem ze strachu i grozy. Oczy niewolnic dźwigających winogrona. mrugały i świeciły się okropnie. Chwilami poruszały one się w orbitach, chwilami wychodziły z pod czoła i wędrowały w najlepsze po głowach i ciele. Stałem nieruchomy. Czułem jak włosy podnoszą mi się na głowie, jak mię ktoś polewa raz gorącą, to znowu zimną wodą i jak mi się nogi jakoś strasznie gną. Sięgnąłem nagle do kieszeni i wydobyłem gwizdek alarmowy. Zatrzymałem go jednak przy ustach — świecące się oczy zeszły bowiem z głowy gdzieś na tułów i znikły i zaprzepaścił się zupełnie. Schowałem gwizdek z powrotem. Strach mnie ominął. — „Co to mogło być? — Pytałem się sam siebie. Przywidzenie! Nie. Mógłbym przysiąc, że naprawdę widziałem świecące oczy. Po skończonej warcie zbudziłem następnego harcerza i zasnąłem twardo po przebytych wrażeniach. Całą noc śniły mi się świecące oczy, straszne oczy.

— — — — — — — — — — — —

Wyjazd z obozów zbliżał się. Ostatni już dzień. Wieczór zapadł pogodny i jasny. Niebo było usiane gwiazdami, wśród nich świecił księżyc pyzaty. Chodziłem zadumany po parku. Żal mi było odjeżdżać z tych obozów. Tak tu było, wesoło. Czasem trochę strachu... przypomniała mi się właśnie owa noc na warcie. Zawróciłem do pałacu. Wtem ze starego rozłożystego klonu spadła przedemną jakaś iskierka. Pochyliłem się i podniosłem o dziwo robaczka świętojańskiego. Teraz znowu mi się przypomniały wędrujące oczy. Napewno, któryś z psotnych druhów, włożył w oczy figur robaczki, które w momencie strachu powiększyły się w mojej wyobraźni. Uśmiechnąłem się na myśl, że te niewinne robaczki były przyczyną strachu harcerza z zastępu „Lisów".

*E. Szewczyk* Rzem. Przem.

*Przed człowiekiem jest tylko jedna droga — świętość — a nią jest pełny rozwój człowieka i ujarzmienie wszystkiego, co w nas jest z chama—materji. Innej drogi naprawdę niema. Jest to tylko kompromis, przybierający się w ładne słówka i frazesy. I to jest prawda.*

# Z wycieczki na czeską stronę Tatr.

Korzystając z otrzymanych w Zakopanem legitymacji tatrzańskich, wybraliśmy się we dwuch na zwiedzenie południowych stoków Tatr wysokich. Pierwszy nocleg wypadł nam w Śląskim schronisku już w Czechosłowacji. Śliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymie, nagie szczyty wydawały się jak skąpane w świetle i świeżości: tylko groźniejsze od innych ściany Gerlacha błyszczały wiecznym śniegiem. Ubieramy się szybko: drogę mamy daleką, a godzina już dość późna Wszyscy już ubrani zakładają wypchane aż do przesady plecaki, zarzucają liny, biorą czekany do rąk — na głowę nieodłączny Niemcom kapelusik z piórkiem i wychodzą żegnając nas przyjaznym uśmiechem. Jemy w pośpiechu śniadanie, i wpisujemy się do księgi pamiątkowej; znajdujemy nazwiska obce: przeważnie niemieckie i czeskie, rzadziej, węgierskie, polskich spotykamy tylko kilka. Po śniadaniu wychodzimy za innymi. Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiem powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czuciu, na całą istotę człowieka; zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga weselsza tutaj niż gdzie indziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co narówni z nią Boga czuć potrafi. Idziemy w ciągłem zachwycie. Mamy dzisiaj do przemaszerowania sporą ale łatwą drogę: zejście ze Śląskiego Schroniska w dolinię Wielickiej do Westerowa, a następnie do Szczyrbskiego lub Poprodzkiego Jeziora na nocleg. Droga bardzo starannie przez „Klub Szeskoslovenskych Turistóv" utrzymana ciągnie się malowniczo zrazu wśród kosodrzewiny, a następnie pośród bogatego lasu świerkowego. Roślinność jest tu bujniejsza i różnorodniejsza od spotykanej po stronie Polski; tutaj i łanie i kozice nie są rzadkością — od czasu do czasu widzimy specjalnie dla łań urządzone żłoby. Spotykamy wielu turystów idących pod górę, naogół są bardzo sympatyczni, pozdrawiają swym „na zdar", służą wszelkimi informacjami, sami chętnie słuchają wskazówek o naszych górach. Trudno się jednak z nimi rozmówić, bo rodowici Czesi niemieckiego języka unikają, lub wręcz nie chcą nim mówić, zaznaczając, że jako pobratymcy powinniśmy się po swojemu zrozumieć. Po dobrej godzinie drogi przechodzimy obok wspaniałej skoczni narciarskiej, tutaj to w zimie odnosił wielkie tryumfy Bronisław Czech i wielu innych świetnych narciarzy Polaków przyczyniając się do spopularyzowania imienia i sportu polskiego wśród obcych. Zbliżamy się do Westerowa po czesku Tatrzańską Polianką zwanego. Uderzają nas komfortowe urządzenia tego bądź co bądź małego uzdrowiska. Widać wszędzie planowość, ogromny ład i porządek; kultura w każdym razie wyższa niż u nas. Cała miejscowość to jeden olbrzymi park cudnie urządzony, ścieżki czyściutkie, drogi asfaltowe, pensjonaty pierwszorzędnie urządzone wśród modrzewi i świerków; nie brak także eleganckich cukierni i restauracji. Piękne wystawy sklepowe dopełniają całości, jakiej naszemu Zakopanemu życzyćby należało. Zmęczeni upałem postanowiliśmy wsiąść do elektrycznej kolejki; bilety tu są dosyć drogie, bo za przejechanie kilku kilometrów zapłaciliśmy 10 koron czyli ok. 2.50 zł. Wysiadamy w Wymich Stagach, skąd już dochodzimy piechotą do Szczyrbskiego Jeziora. Szczyrbskie Jezioro odgrywa tu taką rolę jak u nas Morskie Oko, jednak bardzo się od niego różni. Położone jest wśród łagodnych lesistych regli, w oddali tylko widnieją majestatyczne ogromy górskie. Nad brzegiem jeziora stoi wspaniały luksusowy hotel „Mozy", którego życie wcale nie zakłóca panującej tu niepodzielnie ciszy.

Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności,

trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda trawią dzielnie i budzą pragnienie. Po krótkim odpoczynku i podwieczorku nad brzegami jeziora postanawiamy wobec wczesnej pory iść jeszcze godzinę do Popradskiego Stawu (po czesku Popradske Pleso). Zastajemy tu schronisko bardzo ładnie zagospodarowane. Wszystkiego wbród i tanio, łóżka wygodne i czyste. Tymczasem ściemnia się zupełnie, tylko księżyc ukazuje „pleso" w całej jego krasie.

Ogromne jezioro w łożysku kamiennem otaczają niezmiernie wysokie i śpiczaste szczyty skał granitowych, sterczących w górę tak zuchwale, iż zdaje się, że ostrzem swojem ciemnię niebios przedrzeć odgrażają się. Wierzchołki tych skalistych piramid skąpane w świetle księżyca, przeglądające się w gładkiej tafli wód, to jezioro, którego głębi domyślać sie każe coraz ciemniejsza, a ku środkomi prawie zupełnie w czarną przechodząca barwa wody; wszystko to tworzy obraz tak wspaniały i zachwycający, że nic nie zdoła zatrzeć go w pamięci. Nazajutrz opuszczamy Czechosłowację i udajemy się przez Rysy (2503) do Polski, kończąc naszą 10 dniową włóczęgę po Tatrach *B. Bystydzieński* G.R.T.

# LOTNICTWO WOJENNE.

Lotnictwo przedwojenne nie wykazywało wcale dążności do zastosowania go na wojnie. Pierwszy generalny sztab francuski zainteresował się tą kwestją. Na manewrach w okolicach Verdun w roku 1913 po raz pierwszy znalazły się samoloty. W roku 1914, notujemy pierwszy występ samolotu; występ, który możemy śmiało nazwać pierwszym wywiadem dokonanym z samolotu. Cztery dalsze lata wojny wytworzyły lotnictwo dzisiejsze i śmiało możemy powiedzieć, że wojna światowa postawiła lotnictwo na poziomie niewiele niższym od obecnego.

Najważniejszą kategorją samolotów wojskowych, są samoloty wywiadowcze czyli obserwacyjne. Zadaniem ich jest badanie ruchów nieprzyjaciela. Lotnik, lecąc nad pozycjami nieprzyjacielskiemi chciał im wyrządzić jakąś szkodę, zabierano więc na samolot bomby. W dalszym jednak ciągu, zadanie wywiadu oddzieliło się od zadań bombardowania; postało lotnictwo niszczycielskie.

Jako obrona przeciw wywiadom i bombardowaniom nieprzyjaciela, powstaje trzeci, najsilniejszy rodzaj lotnictwa, lotnictwo pościgowe, zwane także myśliwskiem. Składają je samoloty, których głównem zadaniem jest walka i niszczenie samolotów przeciwnika, a ochranianie swoich wywiadów i bombardowania.

Dzisiejszy samolot wywiadowczy jest z reguły dwumiejscowym; zabiera pilota oraz obserwatora. Musi posiadać dość dużą nośność aby unieść uzbrojenie, stację radio, aparty fotograficzne i większy zapas benzyny. Uzbrojenie jego składa się z dwóch sprzężonych karabinów maszynowych osadzonych na pałąku obok obserwatora i dwóch nieruchomych, strzelających przez polę śmigła obok pilota. Zabiera on także około 100 kg. bomb, umieszczonych pod skrzydłami. W armji polskiej, kategorję tę tworzą samoloty typu: Potez 25 z silnikiem Sorraine o mocy 450 koni, Potez 27 z silniekiem Sorraine o mocy 400 koni i Bregnet 19, z silnikiem Sorraine 450 koni. Są one uzbrojone w dwa karabiny maszynowe ruchome u obserwatora, dwa nieruchome u pilota oraz zabierają około 100 kg. bomb. Osiągają szybkość 230 km./g. Nadto są wyposażone w specjalne celowniki do bombardowania.

Pierwsze miejsce, na samym przodzie kadłuba zajmuje obserwator — bombardjer. Za nim siedzi pilot, a za pilotem strzelec. Obserwator i strzelec mają po dwa ruchome karabiny maszynowe.

W armji polskiej używa się do celów bombardowania samolotów typu Farman „Goliath", wyposażonych w dwa silniki Jupiter po 420 koni. Kiedy samoloty myśliwskie mają 8 — 10 m. rozpiętości, wywiadowcze 14 — 15 m., to Farman „Goliath" ma 27 m. rozpiętości! Osiąga ten kolos szybkość około 180 km./g. i pułap 5.200 m.

Oto jak, pokrótce streszczone, wygląda współczesne lotnictwo wojskowe.

*T. Michalski*
G. P. H. S.

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

**— Od Redakcji.**

Następny numer „Świata Szkolnego" wyjdzie około 20 grudnia. Prace należy nadsyłać do dnia 12. XII. najdalej. Jednocześnie Redakcja uprasza o wyraźne pismo prac.

**— Z Gimn. P. Traugutta.**

Kółko dramatyczne tegoż gimnazjum, jak zawsze, tak i w tym roku urządza przedstawienie w dniu 14 grudnia w sali Katedralnej. Odegrana zostanie czteroaktowa komedja p. . „Pan Damazy". Wielka wartość moralna sztuki, jak również wspaniała gra młodych miłośników — artystów, zachęci z pewnością wielu do przybycia na tę prawdziwie duchową rozrywkę.

**— Z Gimn S. S. z Nazaretu**

Dnia 7-go i 8-go grudnia r. b. o godz. 17-ej staraniem Sodalicji Marjańskiej tegoż gimnazjum odbędzie się „Wieczornica" ku czci Matki Najśw. Na prgram złożą się: referat, śpiew, deklamacje, melodeklamacje, oraz obrazki sceniczne.

**— Z obchodów 11 rocznicy Niepodległości Polski.**

W dinu 11-tym listopada we wszystkich miejscowych gimnazjach obchodzono uroczyście rocznicę Niepodległości Polski. Na uroczystości te złożyły się referaty, deklamacje, śpiewy oraz w niektórych szkołach przezrocza z czasów wojny i P. W. K.

**— Akademja ku czci św. Stanisława Kostki.**

W dniu 13 listopada, staraniem Sodalicji Marjańskich I i II gimn. Państw. urządzona została uroczysta akademja ku czci św St. Kostki. Wieczór ten wypełniły deklemacje, śpiewy, referat o życiu św. Stanisława. Orkiestra I i II gimnazjum odegrała szereg utworów.

Trzeba przyznać, że komitet organizacyjny działał sprawnie i dał moralne zadowolenie audytorium.

**— Z koncertu II Gimn. R. T.**

Staraniem Samopomocy Uczn. przy gimn. R Traugutta w dniu 9-tym listopada odbył się koncert w sali Straży. Program wypełniły utwory: p. prof. Wopaleńskiego, Griega, Szargorodzkiego, Beethovena, Eilenberga i w. in. oraz deklamacje i solo naszego młodego skrzypka Tadeusza Płomińskiego. Jeszcze raz dowiodła orkiestra symfoniczna II-go gimn., wysokiego wyrobienia. Publiczność rzęsistemi oklaskami nagradzała wykonawców. Miarą powodzenia może być fakt, że w pół godziny po otwarciu kasy biletów brakło.

**— Z wieczorku II Gimn, R. T.**

W salach własnych Samopomoc II-go gimn. R. T. urządziła wieczorek taneczny. Wesoła impreza ściągnęła liczną młodzież. Zabawa odbywała się w dwóch pięknie dekorowanych salach „błękitnej" i „różowej". Do tańca przygrywał zespół orkiestry uczniów tegoż gimnazjum.

**— Kółko fotograficzne przy G. P. T.**

Z inicjatywy p. prof. Sołdrowskiego założono w II-gim państw. kółko fotografów. Prowadzą je kol. Skrodzki i kol. Belon. Jedną z pierwszych prac tego kółka umieszczamy jako winetkę na I stronie pisemka.

— **„Bratnia Pomoc“ w Szkole Rzem.-Przem.**

Z inicjatywy ks. prefekta Tomalki oraz p. prof. Nowickiego odbyło się w dniu 24 października zebranie „Bratniej Pomocy“, w którem wzięli udział p. dyr. Inż. J. Bartoszewski, ks. pref. Tomalka, p. prof. Nowicki oraz wszyscy uczniowie. Po słowie wstępnym ks. prefekta i p. Dyrektora odbył się wybór Zarządu do którego weszli: kol. Hłond jako prezes, Leszek - sekretarz, Hofman - skarbnik. Ich zastępcy: kol. Błaszczyk, Chudzicki, Szewczyk. Do komisji Rewizyjnej weszli: kol. Konopka, Kleszcz, Procki, Wanet. Do sekcji Sądu koleżeńskiego weszli: kol. Otrembski, Miecznińskí i Korzekwa. Ponadto do pomocy Zarządu powołano ośmiu członków z poszczególnych kursów.

— **Z życia Samopomocy przy Gimn. S. S. z Nazaretu.**

Dzięki współpracy uczenic, jak również grona profesorów, Samopomoc tego gimnazjum rozwija się nader pomyślnie. Przedewszystkiem jednak wpływa na to sprężyste kierownictwo i opieka kuratorki Siostry Liljozy. Dochody osiągnięte drogą składek, na które, trzeba również zaznaczyć, składają się dobrowolne ofiary pp. profesorów, następnie zyski z przedstawień, wieczornic i loterji fantowej, corocznie urządzanej, tworzą fundusz zasiłkowy. Fundusz ten zostaje następnie użyty w celu niesienia pomocy biedniejszym uczenicom w formie książek, zeszytów, a nawet ubrań. Z placówek najlepiej postawionym jest sklepik Samopomocy. Sprawna zaś czynność Zarządu, utrzymuje całą organizację na wysokim stopniu rozwoju.

— **Uroczystość „Andrzejek“.**

Kółko krajoznawcze dla potrzymania uroczystych tradycji ludowych, tak jak i lat ubiegłych, urządza w tym roku „andrzejki“ związane z dniem 29 listopada. Na program złoży się lanie wosku i wyciąganie prognostyków na przyszłość.

# PRZEDSTAWIENIE!

Nareszcie! Po długich, zda się nieskończonych, jak lekcja matematyki dniach oczekiwania, przerywanych tylko niekiedy przez nadzwyczajne lekcje „okazowe“, otrzymałyśmy — scenę. I to niebylejaką! — Można na niej śmiało zrobić trzy czwarte kroku, a głowa nawet najwyższej z koleżanek nie wystaje wierzchem. Wiadomość o tem, epokowem w dziejach naszej kochanej budy wydarzeniu lotem błyskawicy rozniosła się wśród uczenic i wywołała szalony entuzjazm. Nareszcie! Nareszcie!

Nasze kółko dramatyczne miało teraz pole do popisu: kilkanaście rocznic odrazu i w dodatku otwarcie sceny. Zabrało się też z zapałem do pracy nad wystawieniem jakiegoś możliwego „kawałka“. Po wielu szumnych i głośnych naradach zdecydowałyśmy się na skromniutką inscenizację „Pieśni o ziemi naszej“ — Pola.

Ale i to wystarczyło, aby przez kilkanaście dni cała szkoła trzęsła się od krzyków, wrzawy i bieganiny. Cudowne były nasze próby!

Każdej czegoś brakowało; ta zapomniała, ta nie umiała, ta nie chciała, słowem zwyczajna historja wszystkich kółek dramatycznych. Po miesiącu przygotowań, odbywających się w gorączkowym pośpiechu, nadszedł ów pamiętny dzień. — Na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia zaczęłyśmy się, wśród śmiechu, pisków i krzyków, ubierać w połatane i własnoręcznie doprowadzone do możliwego porządku kostjumy i... scharakteryzować się.

Prawdziwa satysfakcja! Choć raz można było otwarcie, bez obawy przed „naganą“ umalować się i to tak, co się zowie!

Zaczęło się od płomiennej, pełnej „prawdziwego i szczerego“ uczucia, przemowy, a później „Pieśń o ziemi naszej“, wyjątek ze „skalnego Podhala“ i urywek z „Wigilji św. Andrzeja“ — wszystko szło jak z płatka. Zato za ku-

lisami działy się zgoła niesamowite rzeczy; słychać tam było dziwne jęki i wzdychania — to ściśnięte, skurczone, ledwie dychające filary naszego teatru przebierały się.

Dla otrzeźwienia wypiły całą karafkę wody, a na odwagę zjadły pewnie z kilo czekolady.

Wprawdzie trzeba było czasem z wysiłkiem wydobywać głos z piersi i całą siłą utrzymywać równowagę, gdy się stało na palcach, mając pięty w cholewach długich butów, ale widzowie tego nie zauważyli i skonstatowali z powagą, że — „ujdzie".

— Choć to swoje człek się kusi
I pochwalić co się godzi,
Niezłe kółko to być musi,
Kiedy takie cuda rodzi!

Oby więcej takich przedstawień, a gimnazjum nasze zasłynie z humoru i rozdzwoni się śmiechem zarówno rozbawionych widzów, jak i samych „artystek z bożej łaski".

*Genjusz Nr. 1.* G.P.J.S.

## DAWNIEJ, A DZIŚ!

Dawniej, gdy wszyscy przyszłością żyli,
Oszczędność mieli na oku,
Uczniowi książki starczyć musiały,
Od września do końca roku.
Dziś, uczeń słucha o oszczędności,
W teorji nawet to chwali,
Lecz, gdy nadejdzie listopad w pełni,
Z książkami do „Ciapy" wali.
Dawnej panienka kochała pracę,
I o nic więcej nie dbała,
O pracy śniła, dniami, nocami,
Z pracy tej plony zbierała.
Dzisiaj niejedna pierwszoklasistka,
Powagi skrawkiem odziana,
Uczyć się nie chce, bo już od roku,
Po uszy jest zakochana.
Dawniej, gdy człowiek dostał maturę,
Pasada jak w banku była,
Czy to na poczcie, czy na koleji,
Gdzie dusza tylko zaśniła.
Dziś arbiturjent szesnastoletni,
Czeka aż szczęście się zdarzy,
Wkońcu bez wyjścia nie chcąc pozostać,
Sprzedaje po wsiach obrazy.
Dawniej oj dawniej, było inaczej,
Bo wszystko innym szło torem,
Nie dziw więc przeto, że człowiek wtedy,
Cieszył się lepszym humorem.

**„Pierrot".**

# DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Rozwiązań zadań z N-ru 1-go „Świata Szkolnego" nadesłano ogółem 28, — Niestety wiele rozwiązań, w szczególności krzyżówki, zawierało dużą ilość błędów, — Poprawnych rozwiązań wszystkich zadań wpłynęło 7 i z pośród tych otrzymuje nagrodę główną w postaci książki „Ścieżki młodości wielkich mężów" kol, Marja Puławska G, P, J, S,

Za rozwiązanie poszczególnych zadań otrzymują nagrody:

za krzyżówkę — kol, P, Hetner G, P, H, S,

za zadanie historyczne — kol, Kazimierz Radek Gimn, Związk,

W numerze tym otwieramy Konkurs szaradowy. Za rozwiązanie odpowiednich zadań koledzy otrzymują pewną ilość punktów. W końcowym wyniku największa ich ilość zadecyduje o przyznaniu nagrody.

Za najładniejsze nadesłane rozwiązanie, przyznaje się jeden punkt.

## SZARADA SYLABOWA

ułożyła J. M.

punktów 3.

Z podanych niżej sylab ułożyć 19 wyrazów, tak, ażeby początkowe ich litery, czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko liryka polskiego.

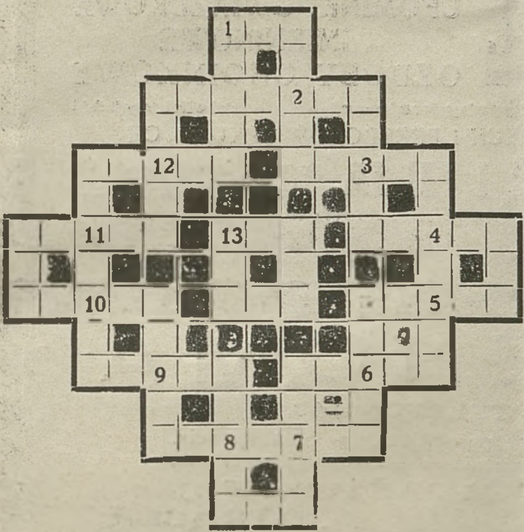
a — an — bach — chen — chij — ci — djak — dor — dzier — e — e — fir — go — go — hel — i — i — iś — ir — ja — ka — kę — kos — li — ma — mar — mo — nie — no — now — nie — ny — pa — pik — pom — ra — rei — ri — ro — ryst — skie — ski — słoń — su — te — ta — tet — ty — tyn — tysz — wa — wy — za — zo — zy — ze.

Znaczenie wyrazów: 1) Rzplita w Ameryce. 2) Miasto w Jugosławji. 3) Dzieło St. Żeromskiego. 4) Wizerunek w jęz. klasycznym. 5) Ludzie, wierzący w jednego Boga. 6) Utwór Juljusza Słowackiego (wspak). 7) Filozof w II wieku po hrystusie . 8) Miasto w Saksonji. 9) Zwierzyniec niebieski (inaczej). 10) Jezioro w Polsce. 11) Rzeka w Azji. 12) Imię

męskie. 13) Rodzaj nabożeństwa. 14) Rodzaj tkaniny. 15) Wyspy na oceanie wielkim (wspak). 16) Zwierzę (wspak). 17) Marzec w jez. starosłowiańskim. 18) Artysta - malarz polski. 19) Imię męskie.

## WIRÓWKA

ułożył: „Wu - Be".
3 punkty.



Wyrazy wpisuje się począwszy od cyfr w kierunku od lewej strony ku prawej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.,

**Znaczenie wyrazów:** 1) Utwór Sofoklesa, 2) Masa zastygła z owoców, 3) Pułk jazdy, 4) Wonny olejek z ziarna na porost włosów, 5) Taniec w południowej Hiszpanji, 6) Krajobraz, 7- Potomkowie dawnych Persów, 8) Zakażenie, 9) Surdut z stojącym kołnierzem, 10) Doroczny jarmark, 11) Starożytna Polska, 12) Ocean drugi pod względem wielkości, 13) Ozdobny ogród przy domu,

## Odczytać z biletów wizytowych zawody osób.

1 punkt.

| |
|---|
| MARA FUTECKA |
| SEWER TRASKOT |
| NIK MOZARI |
| OLEK CZONSKI |
| KIN ZĘDUR |

## Zadanie matematyczne

ułożył: „S. L." G. P. H. S.

Odtworzyć spłowiały rękopis, znaleźć dzielną i dzielnik.

1 punkt.

```
. . . . . . . : . . . . = . . 3 .
. . .
3 1 2 .
. 0 0 0
  . . 5 1
  1 . 2 .
    1 . 6 .
    . . . .
      . . 5
```

## ZADANIE KONIKOWE

Ułożył: „TEKA" G. R. T.
2 punkty.

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| jest | nia | wie | nia | Krok | się | je | nat |
| jak | rem | mój | zmie | ża | chnie | ser | ło |
| je | mar | ruch | ga | ce | stem | dem | rza |
| wy | trzu | stem | de | na | de | ko | jak |
| szem | mój | sta | u | ze | chu | ze | kor |
| je | sił | wie | chem | od | me | mój | pły |
| za | ti | je | cho | wpo | nym | re | ga |
| ku | wru | ru | necz | stem | rem | nę | krok |

Odczytać ruchem konikowym wiersz Wierzyńskiego

Koledzy nadsyłający rozwiązania, są proszeni o wyraźne zaznaczanie na kopertach „Dział Rozrywkowy". Jednocześnie do rozwiązania powinien być dołączony znaczek pocztowy 10 gr.

## HUMOR.

— Żeby pan widział mój zbiór autografów — zawołał pewien zbieracz do znanego satyryka. — Niedawno nabyłem własnoręczny list króla Popiela II-go. Posiadam też pismo Kopernika.

— To wszystko nic! — przerwał mu ów satyryk. — Mój zbiór wart o wiele więcej. Mam list, pisany przez Adama z marką pocztową „Raj".

*Kółko przyrodnicze przy Państw. Gimn. R. Traugutta podaje do wiadomości, że ma do sprzedania synogarlicę i myszki białe,*

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Kol. W. K. (Nazaret):* Za wiersz dziękujemy. Niestety spóźniony.

*Kol. Z. Ziółek (Gim. Związk):* Słabe.

*Kol. Zb. Ziółkowski (G. P. H. S.):* Rozwlekłe i w formie nie do druku.




Kurator **Dr. H. Płodowska.** Redaktor odp. **Kol. J. Bugajski.**

Korespondencje i prace nadsyłać na ręce kol. **J. Bugajskiego,** Stradomska Nr. 4.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie